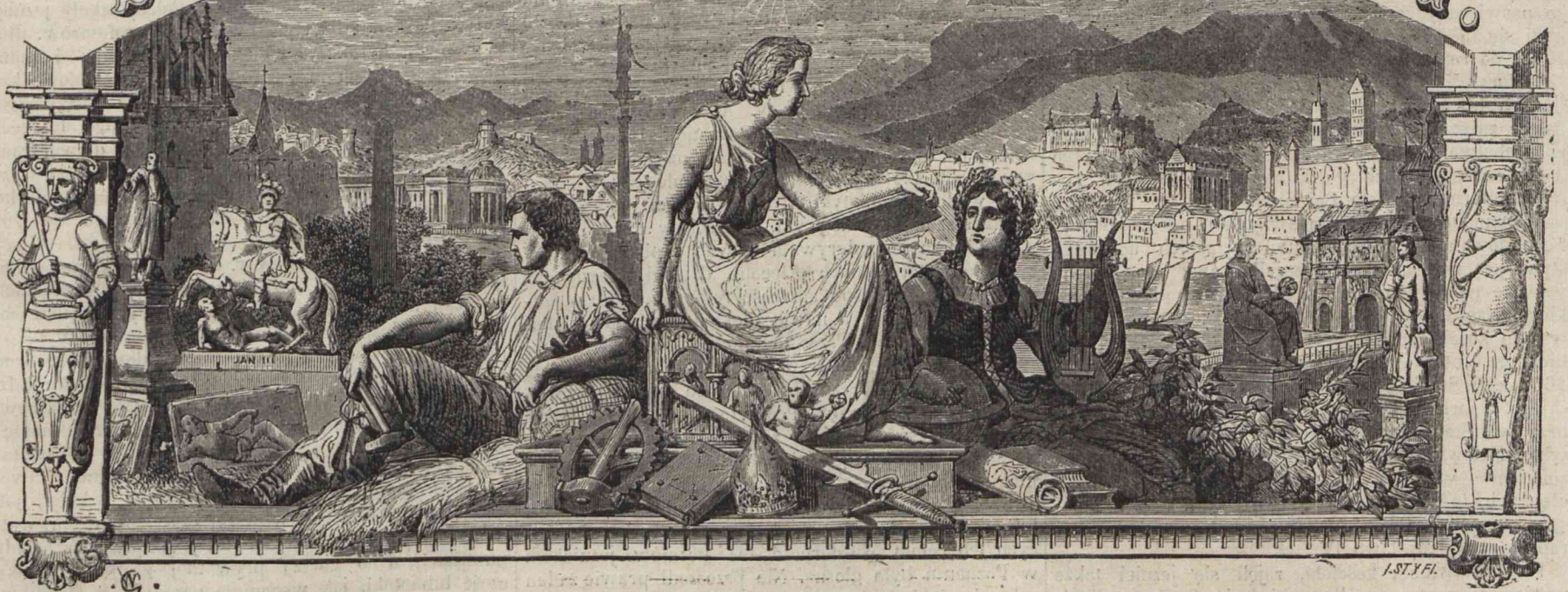


TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 215.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 7 listopada 1863 r.

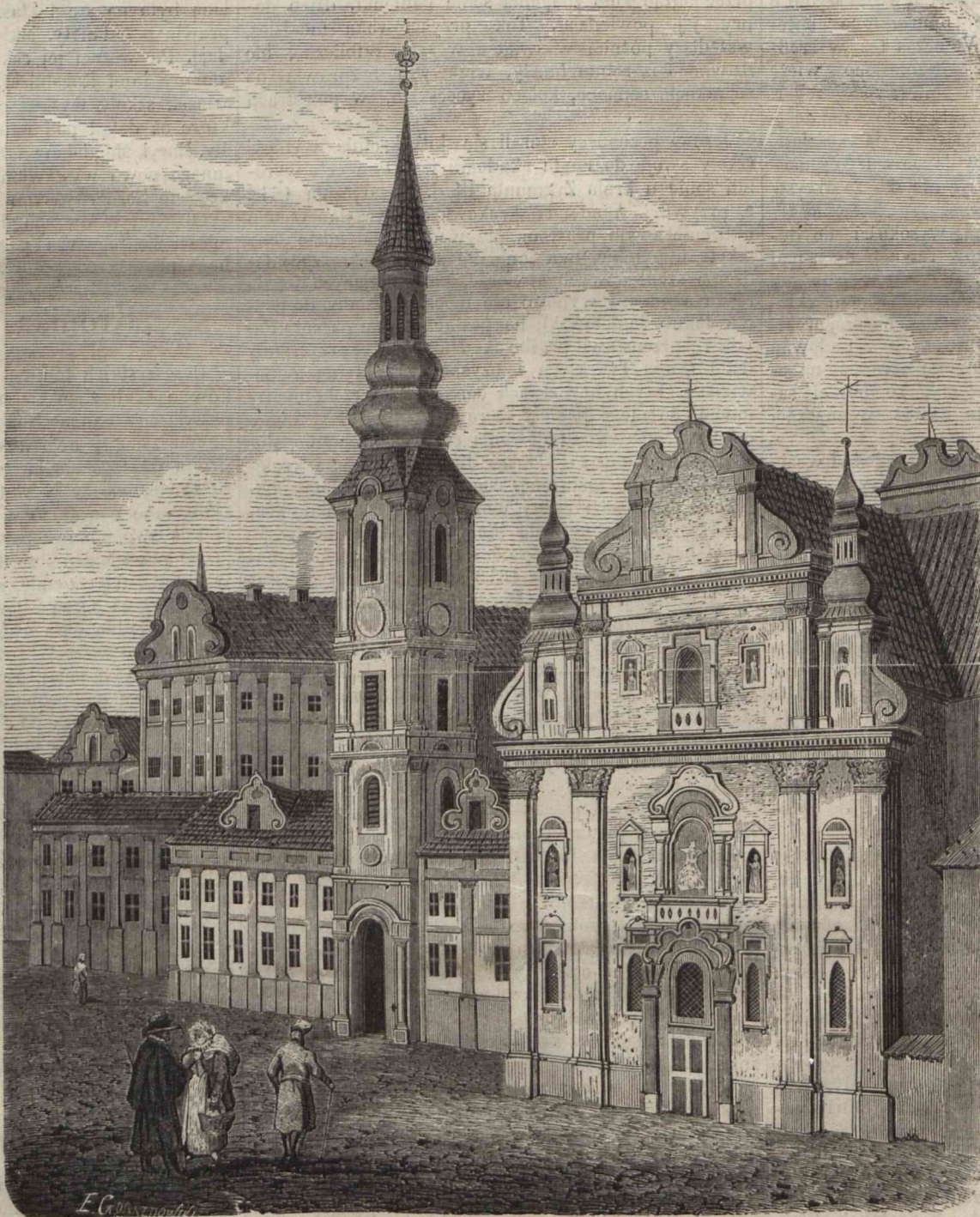
Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU. Kościół farny, czyli po-jezuicki, w Poznaniu (z drzewo.)—Kronika tygodniowa.—Sprostowanie.—Ksiądz Andrzej Rudomina, misjonarz polski w Chinach (z drzewo.)—Domy dla rzemieślników, przy ulicy Pańskiej i Czerniakowskiej (dwa drzewo.)—Kronika sztuk pięknych.—Przegląd polityki zagr.—Tomir.—Dawne ubiory i uzbrojenia.—Szachy.—Rebus.

KOŚCIÓŁ FARNY, czyli pojezuicki, wraz z kollegium w Poznaniu.

Wchodzącemu z rynku poznańskiego w uboczną, dość krótką ulicę Jezuicką, ukazuje się ozdobny i wyniosły szczyt kościoła farnego czyli pojezuickiego, który na drugim końcu ulicy zamyka. Świątynia ta, w koło domami otoczona, jest nietylko najozdobniejszą w Poznaniu, ale nawet policzyć ją śmiało można do rzędu najokazalszych świątyń nowszego stylu w całej dawniej Polsce. Adam Konarski biskup poznański, chcąc zapobiedz szerzeniu się wyznania luterskiego, za radą Wincentego Plotyna nuncjusza papieżkiego przy dworze polskim, postanowił sprowadzić jezuitów do Poznania. Przybyłym z Brunsberga zakonnikom, roku 1570, wyjednał u magistratu poznańskiego, że im miasto ustąpiło na wieczne czasy kościół św. Stanisława, wraz z kaplicą św. Gertrudy i przyległościami. Konarski wyjednał dalej, iż król Henryk Walezy w d. 12 kwietnia 1574 r. potwierdził darowiznę, jak i założenie kollegium jezuickiego w Poznaniu; ze swej zaś strony i za zezwoleniem kapituły poznańskiej, oddał Konarski jezuitom wsie do stołu biskupiego należące, to jest Zemsko, Kielczowo, Bochlewo i Tokarki. W ten sposób pozyskawszy miejsce do budowy i bogate uposażenie, jezuita wystawili r. 1572 dla siebie kollegium, które jednak wkrótce okazało się za szczupłym. Roku więc 1622 Mateusz Bembs, rek-



KOŚCIÓŁ FARNY czyli PO-JEZUICKI W POZNANIU.

tor jezuitów poznańskich i zarazem jeden z najcelniejszych mówców naszych kościelnych, zamierzając rozpocząć nowe obszerne budowlę, zrobił układ z magistratem miasta, przez który pozyskali jezuita obszerne plac, rozciągający się na wschód i południe dotychczasowych zabudowań. Przez powtórny układ z miastem pozyskali znów jezuita roku 1625 plac za kościołem św. Stanisława, od strony ulicy Wrocławskiej leżący. Na tych więc nowonabytych placach założyli ogród, tudzież rozprzeźnili nieco kollegium i kościół. Wszystko to jednak było łataniną, której jezuita, mający smak wyrobiony i kochający się w kształtach okazałych, znieść nie mogli.

Dopiero zakupiwszy w r. 1650, za pozwoleniem Jana Kaźmirza, przestrzeń ku temu odpowiednią, zaczęli budowę nowego kościoła, pod który węgelnym kamieniem położył Kaźmirz książę Czarotorski, ówczesny biskup poznański, d. 15 maja 1651 r. Plan do tej okazałej budowy podał Bartłomiej Wąsowski jezuita, później rektor kollegium poznańskiego, i przez lat kilkanaście prowadzeniu jej przewodniczył; do samej zaś budowy użyci byli tylko rodacy. Wojna szwedzka i różne ówczesne domowe zaburzenia przerwały budowlę, a nawet samemu kollegium dały się we znaki. Szwedzi zmusili jezuitów do opuszczenia miasta, a z nieważności ku nim, nawet nad nagimi murami ich kollegium się pastwili. Najpiękniejsze dolne sale zamienili na stajnię, a pokoje na wyż-

szych piętrach ogolili z drzwi, okien i podłóg nawet.

Po ustąpieniu Szwedów z kraju, Druzbicki, rektor ówczesny kollegium poznańskiego, zajął się ze znacznym nakładem odnowieniem spustoszonych gmachów. On też prowadził dalej rozpoczętą budowę kościoła, który dopiero w r. 1704 ukończony, dnia 27 września 1705 r. przez biskupa Hieronima Wierzbowskiego poświęcony został. Niedługo jednakże jezuita cieszyli się tą świątynią, gdyż opuścić ją musieli w r. 1773, po rozwiązaniu zakonu. Gdy zaś kościół farny św. Maryi Magdaleny w Poznaniu najprzód częściowo się zawalił, a następnie w r. 1780 przez pożar tak dalece zniszczony został, iż go całkiem zaniechano, nabożeństwo przeto parafialne przeniesiono z niego do kościoła pojezuickiego, który odtąd pozostał kościołem farnym miasta Poznania.

Wspaniała ta i obszerna świątynia, miedzią pokryta, budowana na wzór świątyni rzymskich nowszego stylu, jest wewnątrz cała mozaikowana, a podniebnie wsparte na dwóch rzędach filarów porządku korynckiego. Nagrobków dość skromnych jest tylko dwa w tym kościele, to jest wyżej wspomnianego ks. Druzbickiego, autora wielu pism ascetycznych, zmarłego 1662 r., i Stanisława Grabskiego kasztelana rogozińskiego, zmarłego 1693 r. W wielkim ołtarzu jest obraz św. Stanisława biskupa, wskrzeszającego Piotrowinę. Malowidło to, zapewne pędzla włoskiego, jest znakomitej wartości. Dwa wielkie obrazy w bocznych ołtarzach, to jest św. Stanisława Koski i św. Ignacego, są pędzla Grodzickiego, generała artylerji koronnej za Władysława IV.

Po wystawieniu kościoła, zajęli się jezuita także wzniesieniem nowego dla siebie mieszkania, czyli tak zwanego kollegium. Gmach ten skończony został w r. 1738 i w tymże jeszcze roku d. 14 października przeniesi się do niego jezuita. Składa się on z budowli środkowej, 190 łokci długiej a 32 szerokiej, i z dwóch skrzydeł, z których lewe, dziś dwa razy od prawego dłuższe, początkowo było mu równe. Za rektora Bystrzonowskiego, przedłużono lewe skrzydło o drugie tyle i w niem na dole umieszczono aptekę, a na piętrach bibliotekę. Wtenczas też w środku u wnijsia na dziedziniec, wzniesiono wieżę z wjazdem u dołu, a na górze umieszczono zegar. Obok wieży z obu stron wystawiono pomieszkania, przeciągając je z jednej strony do kościoła, z drugiej do przedłużonego skrzydła głównego gmachu, przez co dziedziniec utworzył niejako ze wszystkich stron zamknięty czworobok.

Kollegium to trzypiętrowe, ma wysokości do dachu łokci 40, a grubość murów zewnętrznych nad fundamentem wynosi 3½ łokci. Wszystkie izby na dole i pierwszym piętrze opatrzone są mocnym sklepieniem, a cała budowa jest najwytworniejszej architektury. Podobno na postawienie tych zabudowań wydano około 2,000,000 złp., sumę ogromną na owe czasy, zwłaszcza gdy zważymy, że jezuita sami byli budowniczymi, a może nawet w znacznej części rzemieślnikami.

Gmach ten, lubo wielkiej rozległości, nie był wcale za obszerny dla zgromadzenia. Przeznaczony najprzód na mieszkanie przeszło 70 kapłanów, prócz kilkunastu braciów praktykujących rozmaite kunszta i rzemiosła, jak: malarstwo, sycerstwo, stolarstwo, krawiectwo i t. d., którzy tu po większej części mieli swe warsztaty, mieścił w sobie aptekę zgromadzenia, z dobrze urządzonej laboratoryum i potrzebnymi sprzętami. Biblioteka, pomnażana przez przykupywanie nowych dzieł i darowizny biskupów poznańskich i miasta, w ostatnich chwilach istnienia jezuitów składała się z kilkunastu tysięcy tomów. Dalej były tam gabinety fizyki i historii naturalnej, obserwatoryum astronomiczne z wszelkimi znanymi podówczas narzędziami, i szkoły, które jezuita przenieśli potem do osobnego gmachu obok kościoła, to jest do późniejszego gimnazjum św. Maryi Magdaleny.

W pobocznym dziedzińcu kollegium, znajdowały się dawniej zabudowania folwarczne, stajnie, wozownie, szopy, obory, kuźnie, deptak, browar, suszarnia, budynki dla czeladzi i długa murowana oficyna, w której znajdowała się drukarnia. Za środkową częścią kollegium ciągnie się dziś jeszcze ogród pełen drzew owocowych w najlepszych gatunkach.

Kollegium jezuickie w Poznaniu należało do najbogatszych w Polsce. Posiadało bardzo znaczne dobra, częścią darowane mu od różnych osób, częścią zaś nabyte. Prócz tego miało bardzo wielkie kapitały, leżące lub wypożyczone. Wydało także wielu ludzi uczonych. Pierwszym jego rektorem był sławny Jakub Wujek, tłumacz na język ojczysty pisma świętego i autor wielu dzieł polemicznych i ascetycznych. († 1597). Mieszkali zaś tu i pracowali uczeni jezuita, jak: Fabricius Pallavicini z Genui, Fryderyk Szembek, Woj-

ciech Tylkowski, autorowie dzieł wielu, Mateusz Bembus sławny w swym czasie kaznodzieją, może najznakomitszy po Skardze. W ostatnich jeszcze czasach przed zniesieniem zakonu żyli w tutejszym kollegium: Rogaliński autor pierwszej dokładniejszej fizyki w języku polskim, Jan Bielski autor widoku królestwa polskiego i innych dzieł, Golecki tłumacz historii hiszpańskiej, Gorczyzewski tłumacz satyr Boala i inni.

Szkoły swe otworzyli jezuita w Poznaniu d. 25 czerwca 1573 r., w czasie licznego zjazdu szlachty wielkopolskiej na kontrakty sto-jańskie. Sława jaką zaraz zakon w początkach pozyskał, ściągnęła doń wkrótce mnóstwo młodzieży. Ale jak wszędzie po szkołach jezuickich, tak i w Poznaniu, lubo wyższe nauki, jak filozofia i teologia, stały na planie naukowym, jednakże najgłówniej uczono młodzież tylko łaciny według gramatyki Alwara. W tym języku pisać musiała szumne panegiriki, a niekiedy dla zabawienia publiczności, odgrywała dziwne z pisma św., lub z dzieł starożytnych sklecone dyalogi. Mocno też ćwiczone ją w dysputach treści religijnej, które w jednej sali kollegium, a nawet niekiedy w samym kościele odprawiano. Przez to młodzież, zamiast gruntownej nabyć nauki, przywykała tylko do sporów, do wybiegów dyalektycznych, osobliwie zaś do przesławiania różnowierców. Prócz tego niekarność szkół jezuickich wszystkim jest znana. Dla przyciągnięcia do siebie uczniów, jezuita pobłażali im we wszystkim, patrzyli przez szpary na ich uajwyuzdańszą swawolę, a nawet sami zachęcali młodzież, wprost lub ubocznie, do różnych bezprawioń odpowiadających ich celom. Niesforność też uczniów jezuickich w Poznaniu była głośną. Nie przeszedł prawie żaden rok, aby jakiego bezprawia nie popełnili, a dissydenci, Żydzi, rzemieślnicy, uczniowie innych szkół, a nawet często znakomitsi mieszkańcy miasta, doświadczali ich złośliwej rozpusty. Nieublaganymi tylko byli jezuita na zwiazki młodzieży, choć najniewinniejsze, z plecią piękną. Tak naprzykład opowiadano, że pewnemu uczniowi wyliczyli plag kilkanaście zato, iż przechodząc koło znajomej sobie panienci, dzień dobry jej powiedział. Tak przygotowana młodzież, wszedłszy później w świat i w życie publiczne, nie dziwnego iż robiła burdy, wrzawy i bezprawia po sejmikach, sejmach, kołach rycerskich, w palestrach i w wojsku.

Jezuita poznańscy starali się kilkakrotnie wynieść szkoły swoje do rzędu akademii i w tym celu wyrobili sobie u króla Zygmunta III d. 19 stycznia 1612 r. przywilej. Akademia krakowska uważała w tém ubliżenie swym prawom, przywodziąc że gdzie ona szkole utrzymuje, tam inne nie akademickie zgromadzenia szkół nowych otwierać, a istniejących już do rzędu akademij wynosić nie mogą. Wysłany do Rzymu Jakub Janiowski, na posłuchaniu u papieża Pawła V, przedstawił prośbę akademii, złożył przyczynny list biskupa Tylickiego i uzyskał przychylną odpowiedź. „O tych nowościach oo. jezuitów, rzekł między innymi do niego papież, które w kościele Bożym więcej zgorzenia niż zbudowania czynią, niechętnie słucham. Akademią zaś dobrze dla stolicy św. i królestwa polskiego zasłużoną, chciałbym wszelkimi sposobami ozdabiać i cieszy mnie bardzo, że biskup krajowski, czuły w kościele Bożym pasterz, praw jej silnie broni.“ Wkrótce potem zgromadzenie kardynałów d. 21 października 1613 wydało wyrok znoszący akademie jezuicką w Poznaniu. Wyrok ten potwierdziła bulla papieżka w d. 14 listopada t. r.

Jezuita na chwilę zamilkli, lecz w r. 1630 znów sobie wyrobili przywilej u króla Jana Kazimierza na utworzenie akademii w Poznaniu. Jednakże na przedstawienie kapituły poznańskiej, Andrzej Leszczyński, kanclerz wielki koronny nie przyłożył na przywileju tym swój kanclerskiej pieczęci i dążenia jezuitów powtórnie się rozbiły.

Niezmodowani jednakże w swém przedsięwzięciu, po trzeci raz jeszcze próbowali szczęścia, wyjednaвши sobie u króla Jana III przywilej, wydany w Jaworowie d. 14 sierpnia 1678 r., upoważniający ich do założenia akademii w Poznaniu o dwóch fakultetach, to jest filozoficznym i teologicznym. Wszakże gdy akademie krakowska przedstawiła królowi przez przychylnie sobie osoby, że się to stać może tylko z ubliżeniem jej praw, król w r. 1685 odwołał dany jezuitom przywilej.

Przedstawiając w krótkości spór ten jezuitów poznańskich z akademią krakowską, nie myślimy bynajmniej brać w obronę praw przywilejowych tej ostatniej; jesteśmy bowiem tego przekonania, że jedynie otwarte spółubieganie się, jak wszystko, tak i nauki podnosi.

Jezuita więc poznańscy pozostali tylko przy swém kollegium nobilium, w którym młodzież szlachecka, prócz innych nauk, uczyła się także języków niemiec-

kiego i francuzkiego, prywatnie zaś greckiego i hebrajskiego. Za czasów Stanisława Konarskiego, gdy się obudziło spółzawodnictwo w naukach pomiędzy pijarami i jezuitami, szkoły tych ostatnich w Poznaniu znacznie się także podniosły, osobliwie pod nauczycielami takimi jak wyżej wspomnieni Józef Rogaliński i Jan Bielski. Za czasów Janockiego († 1780, Lexicon derer itz lebenden Gelehrten in Polen) szkoły jezuickie w Poznaniu liczyły dwudziestu profesorów. Rektor zwykł był uczyć teologii dogmatycznej i polemicznej, a dwóch profesorów wykladało teologią kazuistyczną. Logika, fizyka, matematyka i wymowa miały swe oddzielne katedry. Prócz tego czterech profesorów uczyło języka łacińskiego, a dwóch francuzkiego i niemieckiego. Później jezuita więcej jeszcze mieli nauczycieli, a liczba uczniów w pierwszych latach panowania Stanisława Poniatowskiego do 700 dochodziła.

Po zniesieniu zakonu w r. 1773, zatrzymano szkoły ich jeszcze do r. 1780, zostawiwszy przy nich czterech nauczycieli i zniósłszy katedry filozofii i teologii. Po zniesieniu jezuitów, mówi spółczesny rękopis, znikły też wszystkie ich zbiory, złote i srebrne z ołtarzów ozdoby, które tu przez półtora wieku ludzka składała pobożność. Ogołocony został z najszacowniejszych dzieł tutejszy bogaty księgozbiór, a narzędzia matematyczne i fizyczne, jakich może podówczas w całym kraju nie było, zostały rozproszone. Nawet fundusze pojezuickie przeznaczone na szkoły, jak wszędzie tak i tu, po większej części osoby prywatne rozszarpały. Na każdym miejscu pozostały ślady publicznej, a co gorsza prywatnej grabieży. Tylko część biblioteki, jak wspomina uczone J. S. Bandikie, dostała się do księgozbioru uniwersytetu jagiellońskiego.

Do gmachu szkolnego pojezuickiego kommissya edukacyjna w r. 1780 wprowadziła tak zwaną szkołę narodową czyli wojewódzką, która zastąpić miała szkoły jezuickie i zniesione podówczas także kollegium Lubrańskiego. Ta nowa wyższa szkoła podzieloną była na sześć klas i wykladano w niej też same prawie przedmioty, jakie dziś po gimnazyach wykladają. Pierwszym jej rektorem został tylekroć wspomniany Józef Rogaliński, i ten był także pierwszy zwiazek szkoły wyższej czyli gimnazjum w Poznaniu, które aż dotąd pod imieniem gimnazjum katolickiego św. Maryi Magdaleny istnieje, lubo od lat kilku do innego nowo wystawionego gmachu przy dawnym kościele bernardyńskim przeniesione.

Obecnie w murach byłego kollegium jezuickiego mieści się regencya poznańska i mieszkanie naczelnego prezesa prowincji.

Kronika tygodniowa.

U wszystkich ludów, które się przez szeregi wieków na kuli ziemskiej przesunęły, istniał dzień jeden, poświęcony pamięci umarłych i czi ich.

Wierzono że owe dusze, które podług Wirgiliusza powtarzające słowa tajemnic eleuzyńskich: „jedne są zawieszane w powietrzu i stają się igraszką wiatrów, inne pograżone w bezdenną otchłani, obmywają tam swoje przestępstwa, inne nareszcie oczyszczają się przez ogień,“ że te wszystkie dusze wracają w ów dzień na ziemię, szukając przyjaciół, braci, synów blizkich sercu i łączą się z nimi uczuciem, które samo jedno poza grób się rozciąga — miłością.

Zład owe wszystkie dary które składano umarłym, owe szelązki i jadra, owe konie i zbroje, owi niewolnicy ścinani na grobach wodzów barbarzyńskich i zony idące na stos po śmierci mężów u Indian i innych narodów Wschodu. Były to ofiary, które zyciu pogrobowemu życie ziemskie składało.

Ale pewnego dnia ścięto drzewo w lesie palestyńskim, z tego drzewa sporządzono krzyż, rozpięto na nim Boga-człowieka i prawdy zaledwie słabo przewidziane przez najznakomitszych mędrców i poetów słowiańskich, stały się jasnymi jak światło dnia dla każdego nawet dziecka, które przychodzi na świat.

Śmierć Chrystusa, to nieśmiertelność dla nas.

Dzień jednak pamięci zmarłych poświęcony pozostał i w wierze chrześcijańskiej. Średnie wieki w poetycznych rycinach swoich, a lud w prostoduszności dziecięcej wierzyły, że w dzień ten duchy ukochanych nam z wysokich sfer gdzie przemieszkują zbliżają się do nas i krążą nad nami.

I pomimo encyklopedystów osmnastego wieku, pomimo racjonalizmu, pomimo Woltera i Diderota, wiara ta nie zagasła, trwa podziś dzień w wielu i w masach się objawia pod lada pozorem.

Tylko dawniej dzień zaduszny święcono darami i ofiarą, dziś święcą go modlitwą, najpiękniejszym darem ducha.

Jedna tylko modlitwa zbliża dusze zmarłych z żyjącymi i łączy je razem.

U nas od najdawniejszych czasów dzień zaduszny uroczystość obchodzonym bywa.

W dniu tym Powązki wabią do siebie Warszawę, odświeżają się kwiaty na grobach, poléwa murawa, plotą świeże wiewce.

I słuszenie bardzo oznaczono chociaż jeden dzień w roku na tę grobową uroczystość.

Stwórca, wymierzając szczęście i niedolę, wesela i smutki, podług sił naszych, dozwolił zarazem że w pamięci wszystko minione zacięra się powoli, w miarę ubiegania czasu niezwrótnego.

Nieraz zdawałoby się że klęska, jaka nas dotyka, na całe życie zlamala już nasze istnienie, że strata poniesiona niczém wynagrodzić się nie da, że kir żalobny przyrósł nam do serca i chyba ze śmiercią pozbyć się go będziemy mogli.

Mijają dnie, miesiące, lata, a o stracie zapomina się, kir boleści słabnie, smutek się zacięra, nowe wypadki, nowi ludzie, nowy obrót rzeczy światowych zajmują umysł nasz i serce, a zmarły odsunięty zostaje w tę niezgłębiałą otchłań, która w przebiegu życia naszego pożera wszelkie rzeczy minione.

I niestety! każdemu i każdej z nas zdawałoby się może, iż śmierć nasza sprawi w kółku do którego należymy, pomiędzy osobami z któremiśmy żyli, od których kochani, kochaliśmy je wzajem, jakąś niezapelnioną lukę, że wiecznie to opróżnione miejsce pozostanie... musi pozostać po nas. A jednakże...

Kilka łez wylanych, trochę wspomnień, pochwał, może nawet przesadzonych, jaki pogrzebowy artykuł gazetarski, i jak powiada poeta:

Deski co obojętnie zbijają robotnicy,
Karawan co przystroją ludzie zysku pewni,
I karta którą najbliżsi krewni
Przylepić każą na róg ulicy....

I oto wszystko..!

A swoją drogą żadna czynność światowa nie zastanowi się ani na chwilę; życie będzie iść zwykłym swoim trybem, też same rozrywki i nudy, choroby i zdrowie, wesela i radości splatać będą tę różnobarwną tkanę, która się zowie życiem ludzkim.

Choćbyś był geniuszem nadającym nowe prawa ludzkości, choćbyś pchnął naukę nowemi, nieznanemi dłań tory, choćby dzieła twoje stały się zaszczytem wieku w którym żyjesz, choćbyś trząsał losami narodów i na jedno skinienie swoje wiódł, jak Atylla lub Tamerlan, miliony ludów uzbrojonych na zniszczenie drugich, choćby ci stawiano za życia posągi jak Cezarom rzymskim i oddawano cześć bogom przynależną,—to imię twoje wymazane z księgi ludzkości żadnej tam nie zrządzi zszczyby i dla całego ogromu swojej sławy, siły, władzy, tyle tylko będziesz potrzebował miejsca, ile go trumna zajmuje. Chyba że jak angielski Wilhelm Zdobywca, tak mocno rozrośniesz się w ciebie, że zwyczajna trumna nie wystarczy dla zwłok twoich i potrzeba będzie potrójną przyrzadzić, jak to dla niego uczyniono.

Więc wy których kochaliśmy, z którymi zdawało się że łączą nas niczém nierozzerwane węzły, wy najbliżsi serca naszego, a dziś niestety zapomnieni już potrosze i szarzejący we mgle oddalenia, wy którym dawaliśmy najszersze nazwy na jakie język ludzki zdobyć się może, wy których miłowaliśmy najsilniejszym uczuciem na jakie serce ludzkie starczyć potrafi, dla was to ten dzień żalobny jest ustanowiony. Pamięć wasza odżywa się w nim i kwitnie znów świeża, barwna, zwartychwstała. Was, dusze miłych nam zmarłych, my którzy w ten dzień srożej i dotkliwiej czujemy sieroctwo nasze—

...Was tém światłem i kadzidłem
Przyzywamy... zaklinamy....
Mowcie, której czego brakn'e,
Kto z was pragnie, kto z was ląknie?

O, gdybyśmy mogli, jak autor Dziadów, uobecnąć sobie choć na chwilę postać utraconych istot!... Ale dla nas grób pozostaje niemy, i żaden zły czy dobry duch nie przychodzi nam rozpowiadać o losie swoim w innym życiu, lub wróżyć naszą na tym świecie dolę....

Wszakże od umarłych, do tego co im najwięcej przeszkadza albo dopomaga do śmierci, droga niedaleka, i dlatego wybaczą nam czytelnicy, jeżeli ze wspomnienia o dniu zadusznym, przejdziemy do lekarstw i aptek.

Wiadomo że co kilkanaście, często nawet co kilka lat, dzieją się w medycynie różne przewroty, że lekarstwo które niedawno jeszcze uważano za bardzo skuteczne, za jedyny prawie środek przeciwko tej lub

owej chorobie, z czasem wychodzi z użycia i odsuwane bywa na ostatni plan zapomnianych aptecznych przegródek i słoików.

Moglibyśmy naliczyć mnóstwo tych zmian kardynalnych w środkach leczenia; wolimy jednak nie wdawać się w tę część techniczną, do której wtajemniczeni jaknajsurowiej wzbraniają przystępu profanom.

Ale o tém co najdokładniej nam wiadomo, o czém każdodziennie przekonywają się wszyscy nasi czytelnicy i czytelniczki, o tém co bardzo blisko dotyczy nietylko już zdrowia, ale i kieszeni naszej, o tém przecie wolno nam prowadzić dyskusję; mamy do tego prawo—więcej powiemy—obowiązek.

Owóz zauważyliśmy, i wiele osób zauważyło wraz z nami, że od kilku lat cena lekarstw ciągle w dziwnie zwiększającym się idzie stosunku. Dawniej kilkanaście groszy, złoty albo półtora złotego były zwykłą normą ceny zapisywanych lekarskich środków. W szczególnych wypadkach jakieś tam już bardzo wyszukane rzeczy kosztowały drożej, a wtedy doktor zapisując je tłumaczył się, że wyjątkowo musi używać niezwykłego, a więc i niezwykle kosztownego środka.

Dzisiaj lada miksturka, lada piguleczki, dwa albo trzy proszki, z najwyczejniejszych zdawałoby się utworzone preparatów, kosztują sześć, ośm, dziesięć, dwadzieścia złotych. Tanie lekarstwa, zdaje się, już zupełnie chyba wyszły z użycia. Widocznie bogatym tylko wolno chorować, bo gdzieżby ubogi mógł się zdobyć na tak przesadzone ceny?

Pojmowałbym to, gdybyśmy żyli w Chinach. Odwołuję się pod tym względem do świadectwa pana Huc, który kilkanaście lat tam bawiąc, zbadał doskonale ten kraj we wszelkich jego warstwach i odcieniach życia społecznego. Nawet zdarzyło mu się tam dość niebezpiecznie chorować, sam więc na sobie doświadczył miejscowej opieki lekarskiej. Pan Huc więc twierdzi, że kiedy w Chinach kto zaśląbnie, przywołują naturalnie natychmiast doktora, bo i tam są doktorzy, i nawet bardzo uczeni po swojemu. Ale doktor jest zarazem i aptekarzem i sam dostarcza zapisywanych przez siebie środków. Skoro się więc zjawi u chorego i wyegzaminuje go dobrze, zabięra się zaraz do zapisywania recepty. Pierwsza recepta bywa zazwyczaj bardzo długa, mnóstwo wchodzi do niej rozmaitych środków lekarskich, naturalnie jaknajdroższych.

Ukończywszy receptę, doktor pokazuje ją opiece chorego, krewnym i przyjaciółom, którzy go pilnują, i pyta czy się zgadzają na te środki. Wówczas rozpoczyna się nader uparty targ, w którym zwykle i sam chory uczestniczy, jeżeli siły i przytomność umysłu pozwalają na to. Każdy chwytają pędzelek do ręki i zabięra się do drobiazgowego skrutowania przepisanych środków. To za drogie, a to niepotrzebne, to zaś zbyt słono policzone. Doktor upięra się przy swoim i broni każdego przepisane przez siebie środka, mianowicie jeżeli kosztowny. Ale krewni i przyjaciele grożą mu odwołaniem się do drugiego, który podejmie się pacjenta za tańsze wylęczyć piędziadze. Wówczas doktor, chcąc nie chcąc, ustępuje, i rozpoczyna się kręślenie recepty przez opiekę domową, tak iż z przepisanych środków zaledwie czwarta albo piąta część pozostaje. Nareszcie doktor, umówiwszy się już o cenę, idzie sam przysposabiać lekarstwo, które pomaga czy nie, ale zawsze taniej kosztuje.

W najniebezpieczniejszych nawet chorobach w Chinach odbywa się ta sama scena i chory nigdy nie ma za złe dozoruującym go, że się targują z doktorem, bo inaczej przedłużona choroba stałaby się ruiną dla nich. Każdy wie o tém i potrafi się do tego zastosować.

Ale u nas przecie nie Chiny. Każdy z nas wie, że zdrowie jest najkosztowniejszą rzeczą i nie pozwala ostatniego grosza, byleby się tylko z biędy wydobyć. Zkądże więc pochodzi ta wygórowana cena lekarstw, rosnąca jeszcze ciągle? Wszak przy postępie nauki, mianowicie chemii, zwiększa się także i łatwość wyrabiania wszelkich produktów. Samemu zdarzyło mi się słyszeć, że wiele bardzo środków lekarskich stniało, oprócz rzadkich wyjątków, jak naprzykład chininy, której coraz-mniej, a więc rośnie w cenę. Zdawałoby się nieraz że przepisane lekarstwo z najwyczejniejszych środków się składa, a tu spisują rachunek weale poważny. Powtarzam, co mają robić biędne stugi, klasa wyrobnicza i t. d. i t. d? Wszakże im z konieczności trzeba tańszych lekarstw, bo nie mieliby czém droższych opłacić. A więc jedno z dwojga: albo przepisane dla nich środki muszą być mniej skuteczne, albo też możnaby się w wielu razach obyć bez tych wszystkich wyszukanych a kosztownych przysmaków kuchni łacińskiej. Dłaczegóż więc nam tak hojnie bywają one zapisywane? Przyznajemy że

do pewnego stopnia sposób życia ludzi uboższych wymaga odmiennego może sposobu leczenia; ale wszystko ma swoje granice. Zkądże się bierze ten cudowny porządek receptowy, że na przyprowadzenie do zdrowia osób klas zamożniejszych, potrzeba koniecznie środków kosztownych? Upominam się więc w imieniu swoim i wielu, żeby ktoś znający się na rzeczy objaśnił mnie w tym względie, sam bowiem fakt ciągłego wzrastania ceny lekarstw nie ulega wątpliwości, i każdy z własnego doświadczenia przekonąć się mógł o tém. A czyniąc to schylam czoło przed powagą lekarską, bo wiem że jeżeli, broń Boże, sam zaśląbnę, albo która z bliżej mnie obchodzących osób dotknięta zostanie chorobą, nie będę jak Chińczyk przeglądał recepty i targował się o cenę środków które mnie mają do zdrowia przyprowadzić. Spodziewam się że każdy z czytelników tegoż samego jest zdania, i dlatego w tak ważnym przedmiocie, przy ciągle zmniejszających się środkach materyalnych, należałoby się ogółowi jakieś dokładne objaśnienie.

Proszeni jesteśmy o umieszczenie następującego listu.

„Będąc prenumeratorem Tygodnika od początku istnienia tego pisma i czytając ciągle pańskie kroniki, zauważałem że jesteś szczególnym nieprzyjacielem lichwy i lichwiarzy, czego żadną miarą brać panu za złe nie mogę, wspólność bowiem uczuć łączy nas w tym względie. Posyłam więc panu świeży fakt, z którego wiarogodność ręczę, a który przycmięwa doniosłością swoją najsmielsze pomysły lichwiarskie, znane u nas dotychczas.

Pewien urzędnik, przez trzy miesiące niebezpieczną będąc złożony chorobą, zadłużył się u biędnej wdowy, u której był lokatorem, za lokal, pranie i życie. Staruszka wszystko co miała rozporządzała zastawiła, ażeby mu przyjsć w pomoc. Zwierzył się więc ze swoją biędą przed kilku znajomymi, upraszając ich ażeby mu wynalezli gdzie piędziadze do pożyczenia i wskazując zarazem dowody, że mu należy się pewna summa, którą otrzymawszy, zwróci niebawem dług zaciągnięty.

Jeden z tych znajomych nastęrczył mu pewnego rzeźnika, mieszkającego przy jednej z ulic do kolei żelaznej prowadzących, który za solidarnem poręczeniem trzech odpowiedzialnych ludzi, zobowiązał się pożyczyc młodemu urzędnikowi złp. 200 na dni sześć, za opłatą po złp. 6 gr. 20 procentu dziennego. Trzecia osoba, dowiedziawszy się o tém, a zgorzszona takim wymaganiem, oświadczyła się sama z pożyczką bezprocentową i urzędnik uzyskał żadaną sumę. Stręczyciel lichwiarza, zapytany o powód takiego zdzierstwa, tłumaczył się, że jeżeli przemysłowiec o którym mowa za 200 złp. kupi wieprzy, to więcej zarobi, aniżeli mu pożyczone piędziadze przynieść mogą. Bardzo temu wierzę, wieprze bowiem są obecnie tak tanie, że po opłaceniu wszelkich kosztów, funt wieprzowiny nie kosztuje rzeźnika 41stu groszy, czego sam już w tych czasach dwa razy doświadczyłem, kupując na Pradze wieprze na potrzeby domowe. Ale ogromny zysk jaki rzeźnicy ciągną ze sprzedawanego nam tak drogo mięsa, z widoczną krzywdą ogółu, nie tłumaczy weale tak niezwykłych wymagań lichwiarskich; procent bowiem żądany przez rzeźnika wynosi złp. 4216 gr. 20 od sta rocznie. Tym sposobem łatwo można zrobić majątek i kupować najpiękniejsze domy w Warszawie, a potem stać się bardzo szanowanym obywatelem.“

OD REDAKCYI.

Do dzisiejszego nru dołączamy prospekt na dziełko p. t. *Gwiazdka*, upraszając przytém, ażeby wszelką korespondencją i przysyłką piędziadzy na przedpłatę tego dziełka, raczyli Szanowni Prenumeratorowie adresować wprost do wydawcy *Gwiazdki*, p. A. Dzwonkowskiego.

Od p. Teofila Kosińskiego odebraliśmy następujące sprostowanie.

DO REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

W Tygodniku Ilustrowanym nrze 209, w artykule: „Fotografia w Warszawie,“ napisanym przez pana Adama Wiślickiego, wyczytałem, jakoby w ogrodzie Dückerta prowadził zakład dagerrotypów i takowy następnie odstąpił p. Szczodrowskiemu. Dla sprostowania więc tej pomyłki nadmieniam, iż zakład swój miałem w ogrodzie reursy kupieckiej, i ten, z powodu przyjęcia ofiarowanej mi posady nauczyciela przy gimnazjum realnem, zwinawszy, nikomu go nie odstępowalem; p. Szczodrowskiego zaś zaledwie z widzenia znałem.

Teofil Kosiński.

Ksiądz Andrzej Rudomina,

MISSIONARZ POLSKI W CHINACH.

Gniazdo tej rodziny jest w dawnym księstwie litewskim. Jakub Rudomina za Władysława Jagielly był chorązym rudominowskim. Po unii z Koroną, Rudominowie zaczęli używać herbu Trąby, a od dóbr dziedzicznych przybrali sobie przydomek Dusiatkich.

Z tej rodziny nasz misjonarz urodził się w r. 1594. Po ukończeniu szkół i filozofii w akademii wileńskiej, słuchał nauk wyższych w Niemczech, a za powrotem bawił na dworze biskupa wileńskiego Wołłowicza.

W 24tym roku życia, idąc za popędem serca, a zjednawszy sobie przychyłność pięknej i młodej Litwinki, zaręczony z nią, w poczcie licznego dworu w oznaczony dzień r. 1618 do Wilna na ślub przybywa.

Nagle, na parę godzin przed obrzędem, gości zgromadzonych na obchód weselny odprasza, oświadczywszy im, że nie ziemskiej małżonce, ale Bogu ślubować postanowił; przygotowane jadło i napoje do sutęj uczyły ubóstwu rozdaje, sługi swoje rozpusza, sam przywdziewa suknię jezuitów i rozpoczyna nowicyat w Wilnie. Wdzięczny za przyjęcie do tego zakonu, wnosi złp. 20,000, zapisuje mu dobra swoje Giełże i Rostyniany i z całą pokorą zaczyna służbę nowicyusza.

Zdarzyło się że dawny dworzanie Rudominy, Mikołaj Wołoszowski, idąc za przykładem swego pana, wprosił się do tegoż zakonu jezuitów. Młody Rudomina, wyznaczony na posługę do kuchni, z całą gorliwością zaczął pełnić swoje obowiązki. Brat Mikołaj, będący wtedy kucharzem, przez wzgląd na dawnego pana, naczynia kuchenne dobrze wprzód oczyszczone do obmycia mu podawał, co ten spostrzegłszy, rzekł:

— Braciszku, trzeba nam zapomnieć czymes ty był na świecie i ja też. Czyśmy to, czego po nas ćwiczenie duchowne wymaga. Tyś mi powinien rozkazywać, a ja posłusznie i z pokorą czynić.

Wysłuchawszy wykładu teologii w Wilnie, posłany był do Rzymu dla ukończenia kursu. Tu we śnie miał widzenie, zachęcające go do misyi apostolskiej, skutkiem czego objawił generałowi zakonu jezuitów gotowość udania się do Indyj.

W Wilnie już, jak się zdaje, wszedł w stosunki przyjazne z poetą naszym Sarbiewskim i razem z nim udał się do Rzymu. Tam nieprzerwanie łączyła ich miłość braterska, a kiedy Rudomina powziął zamiar popłynięcia do Indyj, poeta w jednej z swych od łacińskich przyjacielowi przypisanę, zapytuje go, czy mu nie straszno puszczać się na morze, walczyć z wi-

chrem i falami, podziwia rezygnacją jego, lecz wróży mu dołę pomyslną. Przytaczamy tu kilka wrotek tej poezji, w przekładzie Syrokomli.

I nic-że nie straszne dla twojej odwagi,
Ni skwary, ni pęd huraganów?
Ni wichry rozdęte, ni fale, ni flagi,
Ni dworzec eolskich tyranów?

Lecz widzę zdaleka jak morze spokojne
Do snu się cichego układało.

Uzyskawszy zezwolenie generała, wsiadł na okręt i popłynął do miasta Goi. W drodze, na okręcie, rozpoczął swe prace, pielęgnując chorych, opiekując się biedniejszymi, a każdemu oddając posługi nacechowane szczera miłością bliźniego. Podróżni zwali go świętym.

Przybywszy na miejsce przeznaczenia, bezzwłocznie udał się do szpitala na posługę chorych, zbywający czas wolny poświęcając na wyszukiwanie i wspieranie biednych, karmienie głodnych, przydziewanie nagich, i w tym celu nie wstydził się nawet zebrać łitości u możniejszych. Pocieszał strapiionych i opuszczonych od ludzi, wzmacniał na duchu upadłych, czuwał nad każdym co potrzebował pomocy i ratunku. Od świtu do nocy, ksiądz Andrzej zajęty był posługą dla bliźnich, a ta praca, obok niezdrowego w szpitalu powietrza, niedbającego o własne zdrowie wycończyła. Dotknięty febrą, resztę sił stracił. Przełożeni, oceniając wysokie jego poświęcenie, wysłali go morzem do miasta Makaum, a ztamtąd dla zdrowszego klimatu do Chin.

Przybył do prowincji Foukien i zamieszkał u przełożonego zakonu jezuitów, w stołecznym mieście tej prowincji Thocheufu. Łagodny klimat skutecznie na febrę męczącą oddziałał, ale został kaszel i zawiązały się początki suchot, przy trwającej gorączce.

Nie przeczuwając groźącego niebezpieczeństwa, z zapalem rozpoczął prace misyjne, tak jak w Goi, gdzie udzielał pomocy i nauki chrześcijańskiej w szpitalach, więzieniach i na galerach.

Tu, gorliwy w rozszerzaniu wiary świętej, zaczął się uczyć chińskiego języka, w którym znacznie postąpił.

Przełożony jego i towarzyszy misyjni, ksiądz Benedykt Mattos, widząc coraz niknące zdrowie i siły w ks. Rudominie, radził mu wrócić do Makaum; lecz Rudomina, zrobiwszy znaczny postęp w języku chińskim i widząc obszerne pole do prac misyjnych, podziękował pokornie za ten dowód względów i pozostał w miejscu.

Nie na długo przeciecz, bo gdy go coraz więcej siły opuszczały, a gorączka trawiła, przeczuł że śmierć już bliska.

Wiedząc że ksiądz Mattos zakupił część ziemi za miastem na cmentarz chrześcijański, stanął przed nim i rzekł:

— Już chwala Bogu w m. miejsca dostał, na którym mię pogrześć możesz. Proszę uczyn mi jeszcze nad to jedną łaskę: racz wszczepić dwa drzewa cyprysowe wedle mego grobu, gdyż się w tém drzewie Kocham.



KSIĄDZ ANDRZÉJ RUDOMINA. (Podług spóczesnej ryciny).

Ty patrzysz z uśmiechem na przyszłe zasadzki,
Na szturmę i burze bez liku,
Jak gdybyś nad Tybrem szedł użyć przechadzki,
Lub w miłym tuskulskim gajku.

Tam fala czatuje, by z tobą wieść wojnę,
Tam grozi niejedno widziadło;

Ksiądz Mattos, do głębi wzruszony tą prośbą, przyrzekł ją spełnić.

W dzień św. Jana chrzciciela 1631 roku miał ostatnią mszę świętą, którą ledwie skończył dla wielkiego kaszlu.

Odtąd zapadając coraz więcej, zaległ łożo. W dniu 5 września odebrał ostatnie namaszczenie, a gdy usłyszał w bocznej sieni stuk siekiery, rzekł:

— To zapewne trumna dla mnie zbija ją.

Powiedziano mu zrzeczywiście przygotowują dlań dom ostatni. Prosił więc aby był niekosztowny. O drugiej w nocy spokojnie zasnął snem wiecznym.

Obchodowi pogrzebowemu towarzyszyła niemała liczba chrześcian, na cmentarz za miastem o polską miłą odległym, który nazywano *górami świętego krzyża*, bo położony był na wyniosłym wzgórzu i piękny krzyż kamienny rozciągał zeń ramiona nad całą okolicą. Chrześcianie wzniesli tam kapliczkę, w której podziemiu złożono zwłoki księdza Rudominy. Nad nią później zbudowano kościół, a obok dom ze czterema izbami, tak dla gości, jak dla jezuitów, odbywających przepisane regułą ćwiczenia duchowne.

Przy drzwiach pomienionej kapliczki wystawiono kamień, na którym z jednej strony łacińskim, z drugiej chińskim alfabetem wryto następujący napis.

„W. O. Jędrzej Rudomina, rodem z Litwy, kapłan, który przybył do cesarstwa chińskiego, na przepowiadanie ewangelii, gdzie w témże przepowiadaniu przez pięć lat pracowałszy, umarł piątego dnia września roku 1631.“

Zostawił w rękopismie książkę, która po jego zgonie została ogłoszona drukiem p. n. „*De Regum Regnorumque mutationibus ac interitu*“. Wilno 1652 r. (w 4ce). Kreslił ją w młodym wieku, nie będąc jeszcze zakonnikiem.

Pisał o księdzu Rudominie ksiądz Benedykt de Mattos, towarzysz jego misyjny. Z listu jego krótką relacją żywota pobożnego i szczęśliwej śmierci ks. Andrzeja Rudominy, napisał ksiądz Wojciech Męciński, później męczennik japoński. Wspominają o nim Kojalowicz i Niesiecki w t. 3.

Synowice jego, Jan Rudomina kasztelan nowogrodz-

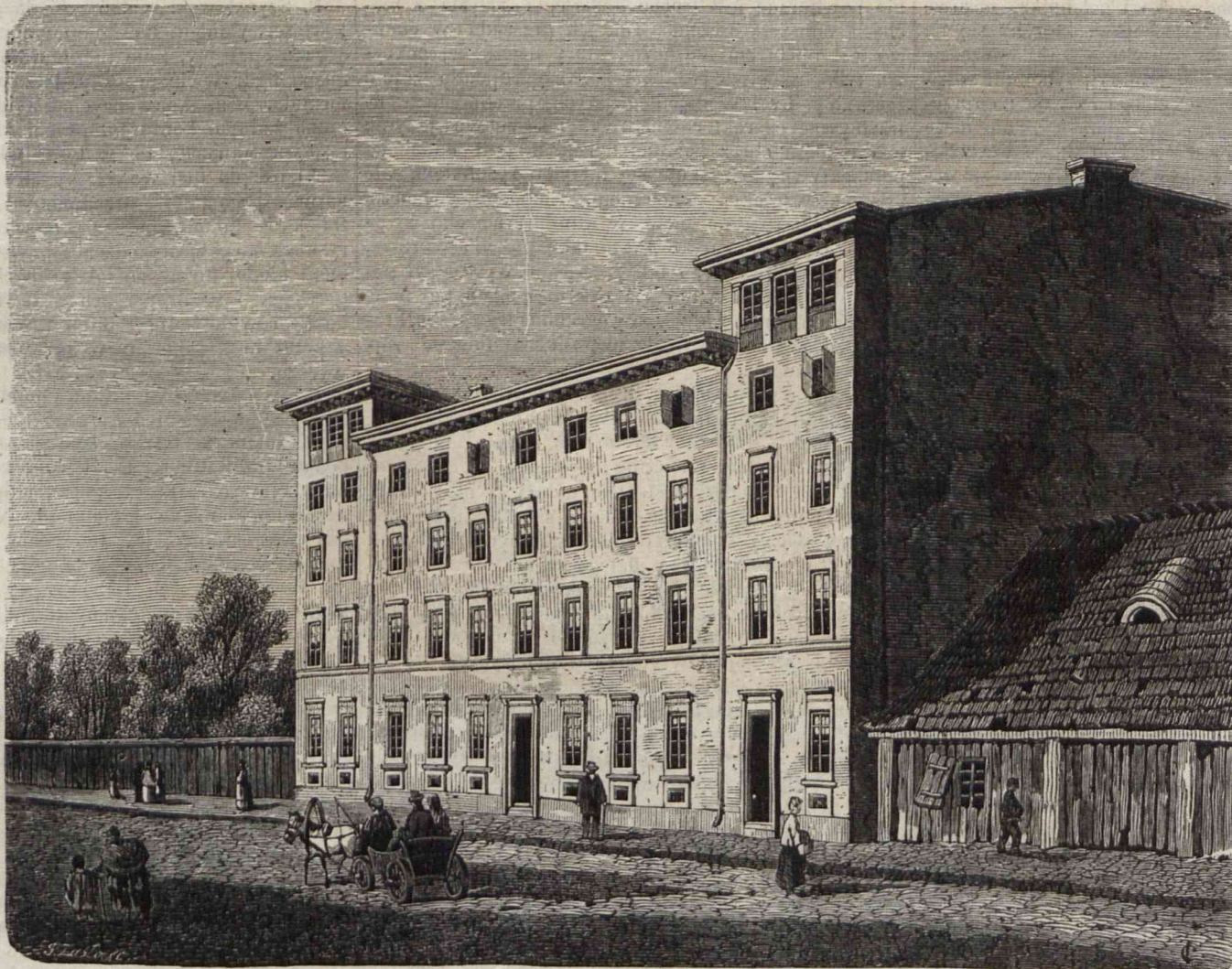


DOM DLA RZEMIEŚLNIKÓW przy ulicy Czerniakowskiej. (Ob. artykuł w Nrze 198).

ki, (1) zmarły 1646 r. wydał wierszem *Opis wojny chocimskiej*, w którym to poemacie starał się każdemu z rycerzy oddać cześć należną zasłudze, jako sam mówi w przedmowie.

Dzieła tego nie znamy; wspominają o nim Kojalowicz i Niesiecki.

(1) Ijemu także Sarbiewski w poezjach swoich przypisał odę na cześć jego brata Jerzego Rudominy, poległego pod Chocimem.



DOM DLA RZEMIEŚLNIKÓW przy ulicy Pańskiej. (Ob. artykuł w Nrze 198).

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH

O Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie i wystawie tegorocznej.

(Dokończenie).

Postać św. Kunegundy nadzwyczaj szczęśliwie pojęta i cały jej ruch przeprowadzony z dziwną prostotą i szlachetnym wdziękiem; w innych a toli figurach, których ugrupowanie jest zbyt ściśnięte, znać mocno manekin, użyty z zaledwie skrupulatną akuratacją. Jakkolwiek lekliwa przesadność w modelowaniu rysunkowym nie należy do koniecznych zalet obrazu, wszelako w talencie kształcącym się daje rękąmi dobroci przyszłych dzieł, i każdy rozumny chętniej patrzy na te usterki sumiennosci, niż na

uludne popisy pseudo-genialności.

W rodzaju potocznym ozdobił L. Loeffler, znakomity w tej mierze malarz, wystawę tegoroczną nader pięknym utworem. Wyobraża on powracającego z jassyru niewolnika. U stóp przybyłego leży żona, w której oku załamionem łamie się ból z radością na widok męża znędniałego i utęsknionego; matka staruszka z pobożną rzewnością tuli go w swe ramiona, ucieszona że jej Bóg przed śmiercią syna powrócił, a stary sluga (przewyborna postać w tym obrazie) odbiega swego zatrudnienia i z serdecznym wyłaniem, z poza stołka, topi wzrok promieniujący

w uratowanym swoim panu. Na boku stary ojciec, któremu wedle zwyczaju i należyłości pierwsze złożył powitanie, rozmawia z księdzem trynitarzem, zapewne o przygodach tej ciężkiej podróży, a może o sprawach nadgranicznych, a dwie te spokojne i poważne figury, z których szczególnie stary szlachcic charakterystycznie pochwycony, ogromnie podnoszą otaczającą je gwar ogólnego powitania.

Najmniej udatną jest postać witanego, albowiem jedna chwila, choćby najbardziej podniesionego uczucia radości, nie zetrze ódrazu marowego hartu przeżytych gromów, i chociaż w łachmanach przeglądając zawsze będzie dumny i niezłamany harcownik Bisurmana. W ogóle mocnych akordów duszy temu artyście nader trudno dobiierać przy-

chodzi, ale też w lubej słodyczy, do której snadź jego umysł najskłonniejszy, mało mu kto zrówna, i każdy jego utwór rozbudza tak mile wrażenie w patrzącym, że mu od niego nieprędko odebrać się pozwala. Kompozycje jego mają jeszcze tę ogromną zaletę, że wychodzą z jego poczucia jakby jeden odlew i całość organiczną jest zawsze tak zaokrąglona, iż się tam ani żadna figura, ani żadne akcesoryum bez potrzeby nie wcisnie. Posiada tę zaletę tylko samorodna twórczość. Krępując się atoli nadto sumiennością naturalistyczną, nie może nabrać w kolorycie swobodnego lirycznego powiewu, i harmonią wydobywa bardziej przygluszeniem tonów, niż śmiałą konstrukcją i kontrastami. Lecz gdyby i to posiadał, proszę szukać równego mu mistrza!

Przy obrazie L. Straszynskiego, do którego artysta wziął temat z Zosi z Pana Tadeusza, w niemalym jesteśmy kłopotcie, czy go można policzyć do rodzaju potocznego, gdyż temat wyjęty z ram epopei; lub czy mu dać miejsce w dziale liryzmu; bo jeśli go odniesiemy do przedmiotu traktowanego, który, po odebraniu od całości poematu, jedynie jako akcja potoczna podaje tło do kompozycji obrazowej, to natenczas należy najstosowniej do tego rodzaju malarstwa. Bardzo słusznie zauważał któryś z krytyków, że podobne zadania są nader ślizkimi, i nie łatwiejszego jak przy nich zejść na ilustrację, lub popaść w niedostatek całości organicznej. A jeśli gdzie, to przy tym poemacie najprędzej może spotkać artystę to nieszczeście. Postacie Pola, lubo surowszymi pociągami, są niezmiernie przedmiotowo narysowane, i charakterystyka szczegółowa tak się zlewa z ogólnym wyrazem epoki, że każda, chociaż oderwana, nawet bez napisu tytułowego, żyje życiem samodzielnie, i przez wypiętnowanie wieku tworzy sama w sobie całość zamkniętą. W Panu Tadeuszu prawie przeciwnie: każda osoba tak jest żywotnie wpleciona w całość artystyczną tego dzieła, że wyjęta z jego ram, zaledwo że nie usycha bez powietrza ożywczego, którym tam wspólnie oddychała. Nie wiemy, czy sobie kto potrafi wyobrazić księdza Robaka lub Jankla, tak cenne perły w tym misternym splocie, zupełnie odciętych od wspólnego powiązania, jako postacie dla siebie wystarczające. Zda się, że około nich snuć się musi nieć związków. Możeby najmniej malarz chybił, gdyby wziął żywcem tylko materiał z jakiej sceny, lub postać, i przerobił je wedle własnej wyobraźni, zachowując jedynie tło psychiczne. Kapliński tło takie w Kluczniku bardzo zręcznie odszukał.

Zosią zawsze była najponętniejszą figurą dla naszych malarzy. Nadobna latorośl litewskiego nieba, kąpiąca się dziewiczo w cudownych mgłach jesiennego poranku, w pieszczotach dziecińczych z ulubionymi mieszkańcami swego podwórka i gołębnika, nasuwa może najwięcej pięknych momentów, któreby się na płótno przenieść dały; ale pan Straszynski wszędzie szukał materiału dla swojej fantazyi, tylko nie w samym poemacie i dlatego przy jego obrazie nieuprzedzony widz, wpadając na różne domysły, nie może domyślić się rzeczywiście treści. Pod innymi względami utwór jego ma wielkie zalety, lecz w założeniu zamierzonym jest zupełnie zwichnięty. Podobne uchybienie w pomyśle nie da się zrównoważyć żadną pięknością, a u artysty jak p. Straszynski, jest nie do przebaczenia, zwłaszcza że jego talent może się wywiązać z nierównie trudniejszego nawet zadania. Wrażenie moralne osłabia się jeszcze wiele i tym także, że w całym obrazie przewiewa jakiś dziwnie lekki eter duchowy. Ruch Zosi niema jednak wcale naiwnej swobody, dziewiczej prostoty; dość trywialnie chociaż ze smakiem narysowany, wyobrażający bardziej affektacją, niż naiwnością niewinną. W traktowaniu i rysunku czuć rękę ogromnie pewną i umiejętną, w kolorycie zaś panuje suchość, może owoc ciągłej pracy akwarelowej.

Kosiarz, A. Kotsisa z Krakowa, przy wschodzącej tarczy księżycy, jest jednym z tych płodów fantazyi, które z zaciszy uczuć tego artysty, mimo wiedzy i trudu niespodzianie się wydobywają. Obraz ten, lubo go artysta w naturze nie napotkał, stanął jasno przed oczyma jego duszy, skoro go tak żywo wypowiedział na płótnie. Uroczysty spokój natury, tajemniczo tu wyobrażony, nakłania mimowolnie umysł patrzącego do marzenia z samotnie dumającym chłopkiem, i lubo nie rozwiązesz zagadki jego zadumy, miła postać jego zostaje ci w pamięci. W układzie obrazu widać trochę reminiscencją nieświeżą, i kto wie, czy nie to przyczyna, że trudno tu rozwinąć kłębek marzeń i rozmyślań elegijnych; wszelako całość harmonijnie przeprowadzona, szczególnie oświetlenie księżycowe i powietrze wieczorne z takim poczuciem natury rozlane po całym krajobrazie, jak się rzadko spotyka i w bieglejszej rutynie. Ruch chłopka z szlachetną prostotą pochwycony, w rysunku atoli

zamalał precyzyi i szczegóły zanadto rozwiane; drzewa również pamięciowo i bawelnisto traktowane. Wszystkie te usterki chętnie przebaczy każdy, widząc ile obraz w zamian stawia nieocenionych rzeczy; staranniejszymi studjami łatwo je usunąć, a kto tyle dokonał, sądzić że w tém nie znajdzie wiele trudności.

Trzy obrazki J. Szermentowskiego, „Siórotki, Ubodzy i Piérwsze marzenie“ są bardziej igraszką sentymentalnej fantazyi, niż płodami uchwyconego na uczynku zjawiska psychicznego, a co gorsza, że grzeszą połowicznością w wykonaniu, i jak trudno je policzyć do rzędu szkiców, tak znowu jeszcze bardziej niepodobna uważać je za skończone. Czy to z braku samorodnej płodności, czy nieobranego jesczestale kierunku, koniec końcem, w przerzutach nieodecydowanych marnuje się talent tego artysty, który mianowicie w pejzażu odznaczał się niesłychanie łatwym rozumieniem natury. Pobyt w Paryżu zapewne wpływa, że go pociąga szkoła nowsza idealistów naturalistycznych, jak Haucon, Diar, etc., ale w takim razie, lubo wzory tych mistrzów piękna wskazują drogę, trzeba wyteńczyć siły woli i wiedzy, by nie pozostać tylko na gruncie naśladowniczym, i wielkąby było szkoda, gdyby stracił przez to poczucie i zamilowanie natury, która do niego prawie sama przemówiła. Do pewnego czasu krotoczwile artystyczne mogą zabawić, podobnie jak fraszki rozumie dziecięcego, ale od dzieła sztuki wymaga się innych warunków.

Ostatnie słowa dałyby się jeszcze stosowniej użyć do prac H. Pillatego, które mimo żywego pomysłu i niezaprzeczenie znakomitego kolorytu, zawsze zostają tylko lekkimi szkicami. W ogólności w postępie tego artysty uważamy niebezpieczną stagnacją, a szkoda żeby jego piękny talent zmartał.

W krajobrazy swojskich malarzy wystawa w tym roku bardzo była ubogą. A. Schoupe fantastycznym manierowaniem zabija swój talent i naturę, a kościółek Gersona, mimo wiernie pocztę natury, nie posiada warunków, jakich się od pejzazysty specjalnego wymagać winno. Nie chcemy przeskądzać predykcjom artysty, którego talent wysoko cenimy, ale nie przypuszczając, by jego bogata i szlachetna wyobraźnia jedynie w tym kierunku mogła znaleźć zaspokojenie, nie radzibyśmy widzieć niedostatków wychodzących z pod jego pędzla.

Pełne wartości są perspektywiczne obrazy A. Gryglewskiego z Krakowa: „jedna nawa katedry krakowskiej, dziedziniec biblioteki tutejszej, a w trzecim krużganki tejże.“ Z wielką prawdą i wiernością oddany charakter architektoniczny, koloryt ciepły i przyjemny, równie w wyborze przedmiotu i punktu patrzenia widać smak tu wielce potrzebny. Tonowanie powietrzne jest trochę lekliwe, i artysta z niechęcią opuszcza szczegół. Tak jak przesada w efekcie jest blichtrzem ludzającym, który najczęściej pokrywa tylko ubóstwo realne, i jak się zupełnie z tém zgadzamy, by i w najodleglejszych przedmiotach utrzymywać charakter właściwy, tak znowu jedynie tém nabiera obraz polotnej harmonii, jeśli oddalenie perspektywiczne zyskuje się nie tylko rysunkiem, ale i stopniowaniem powietrzem. Niepodobna inaczej wydobyć przestrzeń głębi, w którejby się oko swobodnie poruszało mogło. A kto taką posiada wprawę, miniaturową prawie, i tak zręczny i wytworny pędzel, tego lekliwość nie jest uzasadnioną, a pewnością, o jakiej mówimy, podniosłaby ogromnie jego prace, które i dziś zagranicą wcale niepoślednie miejsce zajmowałyby mogły.

W rodzaju portretowym, jeśli do niego nie możemy policzyć kilku kopij z mistrzów włoskich i pary studyów, nie wystawa nie zawierała. W ogóle ta gałąź malarstwa zwykle nielicznie występuje, a przecież portret jest najlepszym stróżem natury i nie pozwoli talentowi produkcyjnemu oddalać się daleko od niej. Wszyscy wielcy kompozytorowie starożytni malowali portrety, i może właśnie dlatego w ich obrazach widzimy żywe postacie, a nie wystrojone modele bez wyrazu fizyologicznego. Może dlatego u nas leży ten rodzaj malarstwa odłogiem, że nie przedstawia perspektywy głośniejszy, jaką kompozycje, częściej i nierównie słabsze, łatwiej zyskują, zwłaszcza że portret, w którym cała zaleta ogranicza się tylko do warunków sztuki, nie budzi tyle interesu, a może, i to zdaje nam się bardziej do prawdy podobnym, iż portret technikę malarza wystawia na dość ciężką próbę, którą i niejednym znamienitszym talentem kompozycyjnym niezawsze przetrwa. Gdyby szło li o podobieństwo, natenczas rysunek wystarczy, ale przy karnacji wymagającej rozlicznych sposobów dla wydobycia świetnego kolorytu, nie jednemu zabraknie siły; niedostatek w tym względzie trudno tu pokryć akcesoryami i draperiami, jak się to jeszcze w obrazie stać może. Nic też dziwnego, że Ticyany, Tinto-

retty etc. stały się nieprzebranym źródłem nauki dla późniejszych wieków, i sztuka dzisiejsza, mimo tak posuniętego naturalizmu, dosięgnąć ich nie może. Jakoż postawiwszy najznakomitsze dzieło nowoczesne, przy całej dokładności rysunku szczegółowego, nie wytrzyma ono porównania z pędzlem owych mistrzów, na oko niby surowym, pod względem przecież kształtów, a témbardziej pod względem misternej siły i ciepła kolorytu, nie odstępującego ani na krok od natury. Z upodobaniem tedy widzimy w studyach A. Grabowskiego, znajdujących się na tegorocznej wystawie, że sobie tę drogę obrał dla nauki; nie tylko bowiem w tych wzorach znajdzie obfity materiał do wyrobienia kolorytu, ale może i fantazyja jego, blakająca się dotychczas po manowcach zabawek marnych, w końcu się ośmieli do jakiej większej kompozycyi, od której do dziś dnia przez obawę niedostatku technicznego jeszcze się usuwał. Dlaczego zaś obok celniejszych prac powywieślał słabe, jeszcze bardzo szkolne, jakby na popis pracowitości? chyba dlatego, żeby się wiecznie utrzymać w charakterze nieumięrającego ucznia. A może też dlatego, że świat znawszy tutaj nie przypuszcza w ramach studyów dzieła sztuki prześlizną jedna główka, w profilu przegiętym, przemknęła niepostrzeżenie przed oczyma patrzących. Wprawdzie nie zachęcała ani rozmiarem, ani strzelistym efektem, ale taki talent przebiegał się w skromnym kolorycie i nader umiejętnym traktowaniu, iż niejedną z starszych kapłanów sztuki nie zdobyłby się na podobne dziełko. Na innych główkach, zapewne z wcześniejszych epok, czuć zanadto ślady niepewności szukającej.

Jeśli w tym roku, tak jak i w przeszłych latach, nie pojawił się na wystawie tutejszej żaden znamienitszy utwór religijny, to wcale nas jeszcze nie zasmęca, gdy weźmiemy na uwagę, jak trudnym jest to wysokie zadanie dla malarza. Zagranicą panuje również w tym względzie wielkie ubóstwo produkcyjne, i ledwie kilku genialnym talentom udało się być oryginalnymi i wnieść się ponad zwykłą rutynę. Wprawdzie mamy dość robotników na boskiej tej nwie, ale ci nie uważają wystawy publicznej za stosowne miejsce dla swoich dzieł, i kto wie, czy nie zbyt pochopna ich gotowość do uprawy tej roli, jest tajemną przeszkodą, że ta gałąź malarstwa nie może się wnieść do godniejszego stanowiska.

Z tego względu pocieszającym jest zjawienie się dwóch obrazów w tym rodzaju na tegorocznej wystawie, i to nie bez zalet. Jeden przedstawia Chrystusa między mędrkami w Jeruzolimie, przez Szynalewskiego, profesora tutejszej szkoły; a drugi św. Jacka, przepływającego się w płaszczu z towarzyszami przez rzekę.

P. Szynalewski widać posiada gorące zamilowanie i właściwy talent do kompozycji religijnych. Układ obrazu spokojny, linie niezmiernie szlachetne i w ruchach figur wiele prostoty, lecz w wyrazach panuje formularzowa, konwencyonalna idealność, nieograniczona żadnym konturem psychicznym, a jeśli w którym przedmiocie, to w tym, gdzie nagły promień boski oślepią martwe wzroki spróchniałych rozumów, najwięcej się mieści przedmiotu dla wiedzy bogatej. Dalej nie pojmujemy, jak p. Szynalewski, którego rysunek zwykle się odznaczał wielką poprawnością, mógł niedopatrzyć się tak grubych usterek w proporcjach i w draperiach zostawić taką niedokładność; równie koloryt obrazu nieharmonijnie ułożony, a przez brak systemu w malowaniu niema żadnego wyrazu.

Z dziwnie trzeźwą intuicyją pojął p. Saganowski cudowność w swoim utworze, i nie tak prędko się komu udało w tak prostym założeniu osiągnąć tak bogaty rezultat. Całość, ugrupowanie, techniczym życiem naiwnej wyobraźni, czerpiącej jedynie w samorodnym uczuciu natchnienie i materiał. Niezmiernie miłą dla nas niespodzianką jest ten talent, zjawiający się pomimo przeszkód stających mu na drodze rozleglejszego kształcenia się. Lubo w tej pracy w różnych miejscach liczne spotykamy błędy, a mianowicie głowa św. Jacka zupełnie jest chybioną pod każdym względem, psychicznym i technicznym, choć koloryt nieco zimny, wszelako ton ogólnej harmonii sprawia miłe wrażenie, i prawdziwie szkoda, że młody artysta nie może się zapatrywać na doskonalsze dzieła. Jedyną to była dla niego przystępna droga do rozwinięcia swoich sił.

Z rzeźby była tylko jedna kompozycya p. Philipiego z Krakowa, przedstawiająca alegoryczną grupę matki z dziećciem przebitym.

Dwa niewielkie medaliony, przed kilku laty wystawione, rokowały nam wiele o talencie tegoż artysty; rzadko się trafił tak mistrzowskie i nieafektowane połączenie linii klasycznych z wyrazem natury, jakieśmy spotkali w tych płaskorzeźbach, nieszczer-

ściami niespostrzeżonych przez zwiędającą publiczność. Mamy w pamięci te dwie prace, więc też dzieło niniejsze wcale nas nie zadowala. Miałeby talent jego przycisnąć? Lecz tego nie przypuszczamy, gdyż w tej grupie, pojedynczo wzięwszy, w figurach też samo idealne poczucie kształtów, tylko wyrazich duchowy obraca się zanadto w ogólnikach idealnych abstrakcyj i nie jest charakterystycznie pochwycony w plastycznym przedstawieniu. W antykach nawet myśli psychiczne wyrażone prostymi liniami natury, nie były tylko odbiciem przypadkowej rzeczywistości, lecz owocem głębokiej wiedzy; świadczą o tym Laokoon, Apollo etc. Tak samo Thorwaldsen np. w swojej „Matce“, zamknął przez realistyczne zdefiniowanie ogólne pojęcie macierzyństwa. P. Philippi wyszukał szczęśliwie sytuacją odpowiednią do wyrażenia ogólnego liryzmu bolesnej rozpacz, ale ją pojął trochę jednostronnie, a nawet za trywialnie, i lubo motyw tak blisko poszukany, akcja za słabo zdefiniowana. Trzeba się dopiero posilkiwać akcesoryami, a to już ostatnia ucieczka w rzeźbie. Od p. Philippiego wymagać możemy doskonalszych dzieł.

Przy rzeźbie wspomniemy też o Młodnickim, którego prace treścią allegoryczną do niej się zbliżają. Są to jeszcze początkowe próby, przebija się atoli w nich bujna fantazja, a w rysunku widać artystę, lecz zarazem i manierowanie w liniach, mogące z czasem sprowadzić z gruntu naturalnego. Jeśli się już artysta tej niebezpiecznej drogi nie lęka, to radzilibyśmy mu jedną rzecz: by wyszukiwał realniejsze momenta i unikał scen, gdzie dekoracja wyrażona pędzlem oddać się nie da. *W. Leopolski.*

PRZEGLĄD

POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

6 listopada.

W d. 5 b. m. o godzinie pierwszej z południa cesarz Francuzów zagać miał posiedzenia prawodawcze przemową tronową, stanowiącą od dni kilku niewyczerpane źródło przypuszczeń i domysłów. Mowa ta dotąd nie jest nam znana i dziś dopiero lub jutro telegraf przyniesie nam jej treść dosłowną. Senat i izba prawodawcza przystąpią niezwłocznie do swych zwykłych czynności. Urządzenie biur i sprawdzenie wyborów zajmie kilka posiedzeń, na których pp. Berryer, Thiers, Marie, Jules Favre wystąpić mają w przedmiocie niektórych, jak sądzą, nadużyć które zajęły miały przy wyborach. W ogólności, po kilkumiesięcznej ciszy, trybuna francuzka wygłosi znów kilka zajmujących i ciekawych rozpraw. Prawdziwy jednak charakter opozycji wyjawia się dopiero przy rozprawach nad adresem, po przeczytaniu żółtej księgi, w kwestjach zagranicznych, a w czasie rozbiórki budżetu, w kwestjach wewnętrznych.

Urządowy Staatsanzeiger ogłosił dekret króla Wilhelma z d. 4 listopada, zwołujący na zasadzie § 51 ustawy obie izby na dzień 9 listopada. Ogólny rezultat wyborów wypadł pomyślnie dla stronnictwa postępowego, jakkolwiek stronnictwo zachowawcze zyskało nieco na liczbie. W ogólności wszakże na 348 wiadomych wyborców, znajduje się około 243 członków dawniej izby.

Król Jerzy I d. 31 z. m. wylądował w porcie pierejskim. Młody monarcha niemało ma trudności do zwalczania, obejmując ster rządów w kraju dotkniętym przez anarchią. Zgromadzenie narodowe w Atenach dało niezbity dowód słabości charakteru i braku cywilnej odwagi w sprawie ministerium Miaulisa. Pod naciskiem jednego tylko stronnictwa, zgromadzenie skazało kilku ministrów nieposzlakowanych na pozbawienie praw cywilnych przez lat dziesięć. Do tych wewnętrznych rozterek i nieporządków dodać należy jeszcze trudności jakie wynikły z powodu zamierzonego przyłączenia wysp jonskich. Austria wymaga aby fortyfikacje na wyspie Korfu zburzone zostały, Grecy sprzeciwiają się temu; tym sposobem przyłączenie archipelagu wątpliwie się staje.

Dzienniki przemawiają zaczynają o nowej zmianie gabinetu w Turynie. Minister spraw zagranicznych Visconti Venosta udać się ma do Paryża, dla zastąpienia p. Nigra w charakterze ambasadora. P. Minghetti prezes gabinetu pragnie także opuścić ster rządu, z powodu słabości zdrowia, a opinia publiczna z góry już mu przeczeka następcę w osobie barona Ricasoli, przedstawiciela polityki samodzielnej. Z tym wszystkim droga do Wenecji i Rzymu daleka i niepewna. W obec orłów francuzkich na kapitolu i niepokonanego prawie szkopolu władzy świeckiej papieżów, trudno nam, pomimo optymizmu Włochów,

uwierzyć w rychłe urzeczywistnienie ich marzeń. Pogłoski o widocznym zbliżeniu się Turynu z Paryżem w dniach ostatnich, krążą wprawdzie, ale nie mają dotąd żadnej urzędowej podstawy.

Tajemnicze ruchy generałów amerykańskich niczem dotąd wyjaśnione nie zostały. Cofnięcie się nagle generała Lee uważanem było przez federalistów za ustąpienie; tymczasem depesza z Londynu z d. 3 b. m. zapewnia, że Lee znowu przeprawił się przez Rappahannock, pobił na głowę jazdę Meada, cofnął się do Beaton-Station i uderzył na federalistów. Najbliższa poczta wyjaśni nam zapewne te działania. Obecnie Lee zajął stanowisko z tyłu Fredericksburga.

Ostatnie depesze. Wiedeń 4 listopada. Wydział finansowy izby deputowanych uchwalił na wczorajszym posiedzeniu, że ogólna summa pożyczki wynosić ma 69 milionów, lub 85, jeżeli projektowany podatek klasyczny nie będzie zatwierdzony.

New-York 21 października. Generał Lee opuścił Manassas. Ruchy jego trzymane są w ścisłej tajemnicy. Sądzą powszechnie że udał się w kierunku Tennessee, dla wzniesienia korpusu generała Burnside. Rosenkrantz wpadł w niełaskę. Prezydent Davis wydał konsulów angielskich. Baterie wzniesione przez generała Gilmore są prawie gotowe do bombardowania miasta Charleston.

Paryż 4 listopada. Memorial diplomatique twierdzi, że przedstawienie izbie francuzkiej żółtej księgi opóźnionem zostanie i nastąpi po sprawdzeniu wyborów. Tenże dziennik utrzymuje jakoby Austria protestować miała przeciw zamieszczeniu not czerwcowych w żółtej księdze.

T O M I R.

(Poemat prozą).

Błogosławieni którzy płaczą,
albowiem oni będą pocieszeni.

Na górze granitowej stał dworzec bielszy od śniegu. Dachówki miał szkarlatne i złożoną ballustradą świecił śród lip, osokorów i klonów szumiących.

Okna jego brylantowym blaskiem kryształili się w rumianym słońca promieniu, i wyglądał dworzec jak owo gniazdo orle, uczepione na skale samotnej. W dworcu mieszkał Tomir, dziedzic młody, z okiem sokoła, z postawą Apollina.

Tomir odziewał się termolamą, a na rękach jego błyszczwały pierścienie jak gwiazdy; broń jego ciężka była od szmaragdów i pereł, a nad skronią wiały kity w opalach.

Tomir pił purpurowe wino z kielichów rzeźbionych w złocie. Był dumny i nie patrzył w stronę nieszczęśliwych. Bał się łez, bo od nich rdza pada na klejnoty.

Jednak Tomir niezawsze był dumnym. Były chwile młodości w jego życiu, kiedy siadał z nędzarzami do wspólnego stołu, a skarb jego wonczas stanowiący łąkowe kwiaty ogrodu, napój szklane wodospady, klejnoty koralowe grona kaliny i łzawe rosy poranku.

Mówili też ludzie że Tomir szlachetny, i otaczali go czcią, pomimo wiosny życia.

Odstąpił dzisiaj od obyczaju ojców, zapomniał szlachetnej prostoty życia, siedział u stołu zastawionego kryształem, pijąc złote i rumiane wino, a u podnóża słały mu się kobierce miękkie, tkane w kolorowe wzory rękami niewolnic.

I stanął przed nim kapłan z obliczem świętym, niosąc na skroni aureolę siwizny i rzekł mu:

„Tomirze, Tomirze! oto nie wypełniasz posłannictwa swojego!

„Ażaliż godniejszy i wyższy jest kwiat, który dostał więcej rosy?

„Ażaliż ojciec twój wynosił się nad inne, że był nad inne szczęśliwszy?

„Wstań i nawróć się, bo zapisane jest przeznaczenie twoje złotymi głoskami błyskawicy, a palić cię będzie ono przez wieczność, jeśli go nie wykonasz!”

I zląkł się Tomir, lecz nie miał siły powstać z miejsca.

I zamglili się mgłą napoju turkusowe oczy jego, pochylał się i zasnął, a kapłan wrócił do Boga.

Potem przyszli ludzie zdradliwi, a rozebrawszy skarby Tomira, zajęli dworzec jego. Ocknął się dziedzic, wołając głośno; lecz odbiegli go przyjaciele. Obrócił się tedy do Boga i rzekł: zgrzeszyłem przeciw Tobie Panie, i oto nieprzyjaciele moi naigrawają się zemnie!

* * *

Wiele dni i nocy wiele przeżył tak Tomir; oczy jego zgasły od łez, a postać młoda schyliła się ku

ziemi pod brzemieniem smutku. Próbował ocknąć się, lecz był bezsilny i samotny.

Rzekł wtedy: O czemuż nie przygarnąłem biednych do serca? Oto dziś chodzą oni, zbierając okruszyny chleba ze świetnych stołów zastawionych złotem, nie myśląc o tym komu służą.

Więc wstał i szedł w cieniste szpalery ogrodu, a było to przed wieczorem.

Cicho było w ogrodzie; żaden liść nie szemrał w gęstych krzewach i ziołach; ogromne, stare drzewa stały bez szmeru a niemo, jak obeliski wyniosłe.

Staw szeroki błyskał srebrem; rozogniony promieniami słońca, łamał się w iskry koralowe i złote, za każdą razą kiedy wietrzyk musnął przezroczytym skrzydłem, tło jego zwierciadlane.

Srebrne rybki o ponsowych skrzelałach rozbijały szklaną powierzchnię i nikły w topieli, a po nich kręgi błękitne rysowały się lekko, bieząc po wodzie i mącąc rumiane nieba odbicie.

I w takiej ciszy stał gaj starodrzewny nad stawem i biała ścieżeczka zbiegała nad wodę, pnąc się napowrót w górę; tylko nad brzegiem chylił się osokor wielki, jakby płakał.

Pod tym osokorem usiadł Tomir na murawie, słuchając zamysłony mowy kwiatów.

Serce jego zakała wielkim bólem, bo wspomnił jak niedys swobodny i szczęśliwy ztąd się wpatrywał w niebo.

Przyszły mu na myśl dni piękne, kiedy jeszcze w szarzej sukmanie, wsparty na szabli, wzdychał tu do pięknych oczu kochanki.

Przyszły mu na myśl pieśni wtedy śpiewane i konwale które zbierał po rosach, wiążąc je błękitnymi wstęgami w bukiet.

Przyszły na myśl kielichy malwy amarantowej, pełne łąkowych kropel dęszczy, patrzące jak chińskie pagody w jego okno, kiedy zamysłony spoglądał ku wodzie.

I owe pacierze odmawiane pobożnie w gronie biednych, i ławy dębowe na których przy nim siadali.

Wspomnił przeszłość, cześć i poważanie u ludzi, zważył terażniejszość, terażniejszość smutną w osamotnieniu tułaczem. Pochylił głowę na rękę i płakał.

A oto odwrócił się i ujrzał postać stojącą na górze w najciemniejszej gęstwinie drzew.

Był to jakoby anioł, a skrzydła miał opuszczone, niby w smutku.

Szata jego była długa, powiewna, twarz przezroczysta od łez, a krucze pierścienie włosów spadały po bladej skroni, kryjąc ramiona; dłonie miał zalamane boleśnie.

Anioł ten był piękny.

„Nie lękaj się, Tomirze!” rzekł on: „Jam jest Abadona, jam jest anioł pokutujący przez wieki wieków za jedną chwilę zapomnienia i słabości; nie jestem zdradny, tylko nieszczęśliwy.

„Oto najświetniejsi aniołowie, światli jak tysiąc promiennych gwiazd, pociągnęli mię za sobą w upadek dumy, i jam poleciał w przepaść, tracąc te jasne niebios a stóp Ojca aniołów i ludzi.

„Teraz piekło jest mi obmierzłe ze zdradą, płomieniem i krwią swoją. Nie cierpię szatanów dumnych, a do Boga wrócić nie mogę!

„Płynę z powietrzem, jak ptak błędny, i nigdzie nie znajduję pokoju niebios, ani ciszy grobowej. Bóg mój nie pamięta o mnie dla grzechu duszy. A jam tylko był słaby!...“

„Ażaliż jesteś nieszczęśliwy i wątpisz? Przychył ku mnie głowę, bo jam jest anioł zwątpienia!”

Umilkł Abadona, i spuścił głowę na pierś.

A Tomir, wstawszy, poszedł ku niemu i stanęli obadwaj pod cieniem sklepieniem klonów, pochylili skronie ku sobie i płakali cicho.

I rzekł natenczas Tomir: „Oto jestem sierotą podanym na uragowisko. Opadły z ramion moich złote lamy, opale i brylanty z włosów moich zostają w dłoni służalców, bom zgrzeszył, jako anioł pierwszy, strącony z nieba.

„Nie chciałem płaczących i utrudzonych rzeźwić na sercu, a oto nikt śmiertelny mię nie wybawi.

„I czegoż mogę się spodziewać? Oto młodość moja ubiega, a jam jest jako lilia podcięta, którą nadeptał przechodzień.

„Jam jest jako biała kamelia w dłoni śmiertelnej, obrywana listek po listku aż do głębi serca.

„Jam jest jako drzewo płaczącej brzeziny, podmyte zdrojem; chyłę się, więdnę, upadam w otchłanie, bo niema dla mnie wybawienia!”

A kiedy płakał Tomir z Abadoną, stała się światłość wielka i zstąpił anioł Gabriel po powietrznym błękitcie.

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 95.

Wiek XVI. Ubiory używane przez zamożną szlachtę i mieszczan krakowskich, przeważająco cudzoziemskiego kroju. (Rysunek wzięty ze Zwierciadła Reja).

I zawołał trzykroć: Tomir! Tomir! Tomir! I podniósł głowę młodzieniec, Abadona ujrzał Gabriela i zakrył oczy przezroczyście dłońmi.

„Bądźcie pozdrowieni w imię Pana zastępów,“ rzekł Gabriel, „oto Pan mię posłał, abym okrył skrzydłami opieki tego młodziana. A ty Abadono idź w pokój.“

„Dlaczego mię witasz słowem ciszy niebieskiej, bracie?“ spytał Abadona. „Ażaliż mogę mieć spokój?“

„Ażaliż nie jestem jak ten gołąb raniony, konający długo w męczarni, lub jako gwiazda stracona, lecąca w smutną nieskończoność?“

„A jeśli masz litość nademną, zesłańże Pana, powiedz mi słowo pociechy wielkiej, słowo promienne dla tęsknoty mojej: gdzie jest brat mój Abdiel?“

„Czyliż on zwidza błogosławione ziemie, lub wysłany zlatuje ku ziemi drogą światła strumieni?“

„Czyliż mię zapomniał brat mój Abdiel i nie pamięta kochania swojego?“

„Czyliż się lęka kochać odtrąconego anioła, błędzącego po czarnych czeluściach piekła, wśród jęków i płomieni palących duszę jego nieśmiertelną?“

„Oto patrz! ja w piekle żyć nie mogę i dzieła na ziemi bładą troskę śmiertelnych!“

„Pokój tobie Abadono!“ odrzekł Gabriel, „tyś nie potępion z innymi.“

„Oto twój Abdiel kłęczy wieki przed obliczem Pana, aby wyśpiewał dla ciebie przebaczenie.“

„Twarz ma promienną przez miłość i twoją harfę zlaną trzyma w ramionach przezjrystych.“

„O każdej porze usta jego świecą wполotwarte, jak zorza szkarłatna, i dźwięczą tylko prozbami za tobą.“

„Pan kocha Abdiela, anioła ze spuszczoneń czołem i zamysłoną twarzą; kocha go za poświęcenie dla ciebie.“

„Więc ufaj! Gdzie jest miłość, musi być miłostwie!“

„Nie!“ jęknął Abadona. „Nigdy już nie ujrzę Boga Pana mojego! nigdy nie powrócę do błękitnej krainy świętych aniołów, nie złożę strudzonej skroni na ramieniu Abdiela! Bóg mię odtrącił, a on mię zapomni.“

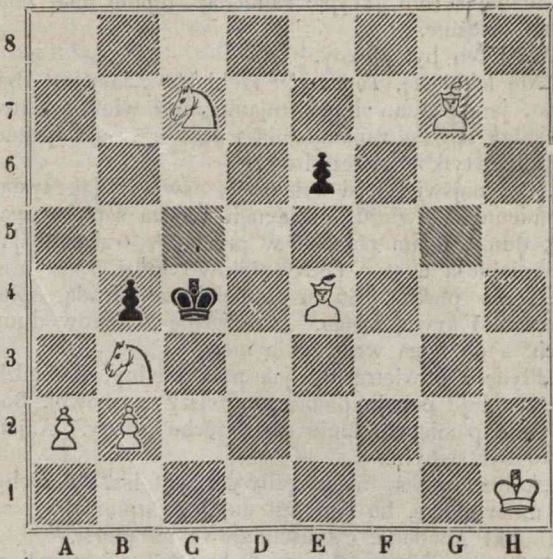
Gabriel otarł ręką tęczowym łzę anielską, czystsza nad kryształ, i skrzydłami objął Tomira.

SZACHY.

ZADANIE CLXXVIII.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 177.

Białe.

Czarne.

- 1) D 4—B 3 † 1) C 5—B 5 biorą (a)
- 2) G 4—C 4 † 2) D 5—C 4 biorą.
- 3) E 3—E 5 † 3) F 7—D 5.
- 4) E 5—D 5 biorą † i mat.
- (a) 1) A 4—B 3 biorą.
- 2) G 7—F 8 † 2) F 7—F 8 biorą (b)
- 3) G 4—C 4 † 3) D 5—C 4 biorą.
- 4) E 3—E 5 † i mat.
- (b) 2) F 7—E 7.
- 3) F 8—3 7 biorą † 3) C 5—B 5 biorą (c)
- 4) G 4—B 4 biorą † i mat.
- (c) 3) C 6—D 6.
- 4) G 4—D 4 † i mat.

A Tomir stał jak topola smutna na cmentarzu i patrzył w oblicza dwóch aniołów. Więć rzekł mu Gabriel:

„Zgrzeszyłeś Panu, boś zapomniał posłannictwa swojego i kochałeś uciechy nad poświęcenie, dumę nad miłość, siebie nad braci. Więć rozwiły się róże twojego życia.“

„I plakali nad tobą aniołowie święci, litując się boleści serca twojego, a pozbiérawszy łzy twoje pokutne w urnę z alabastru, zaniesli je po promieniu do błękitnego nieba.“

„A Pan, ujrzawszy to, posłał mię ku tobie, abys się nawrócił; a jeśli kochasz Pana, idź za mną!“

Rzekł Tomir: „Jam jest znękany życiem i chciałbym ciszy grobu, gdyż bojowaniem był żywot mój, a dziś ręka mi skostniała od więzów, oczy niegdyś sokole zgasty, jako dwie gwiazdy zachodzące powoli. Bo wiem nie lubię życia, ono jest zdradą.“

„Miłém jest życie w Bogu i dla Boga,“ powiedział Gabriel i skinął skrzydłami. A oto szmaragdowa gęstwina drzew, klony i osokory zaczęły śpiewanie, a oto ziola przeświecone i kwiaty barwiste zaczęły śpiewać, chwając Pana.“

I śpiewały radując się z życia błękitne niezabudki nad stawem, nuciły fijołki na mchu i róże w gęstwinie nuciły, niosąc na łonach swych motyle złociste, szkarłatne i niebieskie.

„O wielki jest Pan i święte są cuda Jego! Słodko żyć z rozkazu Boga, umierać z ręki Boga, bo Bóg jest życiem!“

„On prześwieśla każdy listek osokoru i rozwiesza po rózach wieńce chmielu.“

„On zapala gwiazdy, na niebie i łamie promienie słońca, aby obdzielić niemi ziemię całą.“

„On opromienia życiem motyle i ptaki, gałęzie i kwiaty, a słucha brzęczenia każdej muszki złotój, tańczącej nad liściem aksamitnym.“

„Jemu ku cześci zdroje szumią cichą, szemrzącą modlitwą.“

„Jemu wszystkie twory modlą się uroczyscie, tajemniczo, bo On jest wielki i nie ma granic Swęj wielkości!“

„Hymn ten korny, upadający w nicość przed obli-

czem Boga, osnuty jest na słowach: Oto ja jestem niczym, a Ty nie masz granic i końca.“

„Jest to najwspanialsza modlitwa pokory.“

Gdy umilkły, rzekł Gabriel:

„Młodziencze! oto stworzenia nieme śpiewają Boga, a ty milczysz? Ażaliż bicie serca twojego nie powinno być modlitwą pokory?“

„Bo cóż ci dadzą skarby świata? co dadzą szaty w perłach i szafirach?“

„Oto zaprawdę powiadam ci, jedno skrzydło szkarłatnego motyla na wrzosach jest bogaciej malowane złotem, niżli pyszne szaty bogaczów!“

„Zaprawdę, strojny fijołek bogaciej haftowany jest brylantową rosą, a jaskir złocisty nosi koronę królewską bez trudu!“

„Patrz, ażaliż muszelka drobna, zaryta w białym piasku pod kryształem stawu, nie bogaciej mieszka nad pany?“

„Bo marne jest szczęście ludzkie, a nędza święci z za klejnotów dumy, a z marzeń ludzi wyniosłych przegłada kościotrupią twarzą zniszczenia!“

„Więć ukorź się Panu i więdz, że wytarta szata nędzarsza błyszczy purpurą królewską na niebie.“

A gdy tak mówił, zbliżał się wieczór i lazurawa noc zstępowała z wolna, a z nią idące gwiazdy napół jasne, rozstrzeliły promienie łzawe po mieniącej się wyżynie niebios.

I oto Gabriel zachwiał łabędziemi skrzydłami, a poważne hymny gwiazd roztraściły szklane powietrze, płynąc ku ziemi.

I zagrziała gromowo ziemia do wspólnego chóru, aż z głębokości serca swojego.

Więć upadł Tomir na twarz i zatrwożył się wielce, a biały Gabriel pochylił się nad nim miłościwie, mówiąc aby się nie lękał.

Bo oto Pan sprawił jedność gwiazd, aby go czciły wspólnie.

Potém zęgnął Abadonę słowami ciszy anielskiej i wiódł Tomira pod krzyż, gdzie siedział ślepy a ubogi młodzian, w szacie podartej.

A ujrzawszy go, rzekł Tomir:

„Bracie mój, oto zgrzeszyłem przeciw Bogu i tobie, gdy m nie chciałem policzyć łez twoich; więć przychodzę abym się nawrócił.“

Wtedy ów ślepy podniósł głowę i spytał:

„Zkądże ci jest Panie, że przychodzisz do mnie?“

Więć objął go Tomir, mówiąc:

„Pójdź za mną!“

I uściskali się idąc ku dworowi spolem, a za nim szedł Gabriel, modląc się Panu zastępów.

A Tomir idąc drogą śpiewał:

„Wielbij duszo moja Pana, rozradował się duch mój w Bogu Zbawicielu moim.“

Tomir był już silny, bo wykonał wolę Boga.

Natenczas Abadona patrzył za nimi, a gdy się oddalili, rozwiął się i zniknął w cieniu, płynąc dalej i dalej...
Adela H.....

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 214.

Ziemiańskie utrzymują, że powieściopisarze zabrali im do swoich powieści co do jednego sumiennych e o nomów.